

# DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 8 kwietnia 1843.

Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301., we Lwowie.

## M O D Y.

Paryż, dnia 25 marca 1843.

**Stroje damskie.** Pora terazniejsza jest porą przejścia, w tych bowiem pare tygodniach które jeszcze pozostają, ma się moda odrodzić, i wystąpić z całą świeżością w zbliżającym się *Langchamps*. W przejściu tem następujące stroje ściągają przed innemi wszystkich uwagę. Nie masz nic powabniejszego nad suknię z *pou-de-soie* popielatego koloru, ozdobioną wkoło spodnicy pasamonikami czarnemi, ciągnącemi się z obu stron od brytów przodka aż do kończyny stanika, który jest obeisty i wysoki, i z obcisłemi rękawami. Suknie z czarnego kazimiru i z kaszmiru różowego robią przedziwny skutek, pierwsze ozdobione są z przodu spodnicy rzędem wielkich, jedwabnych guzików, mają stanik wysoki, obeisty, z zaokrąglonym końcem, ozdobiony tożsamo rzędem guzików łączących się z temi co u spodnicy; rękawy zaś mają obeiste. Drugie ozdobione pasamonowemi robótkami mają stanik wysoki i kończasty, i takież same obeiste rękawy. Nic pysznieszego nad suknię z czarnego axamitu z jedno-stajną spodnicą, stanikiem obeistym, wysokim, z końcem zaokrąglonym i z obcisłemi rękawami.

Wszystkie te wymienione stroje noszą cechę pewnego wyszczególnienia, na której pozna się natychmiast osoba z gustem; a co im najwięcej elegancji dodaje jest właśnie podwłoka z materii przetykanej włosienią, o której już tyle razyśmy spominali. Ma ona wszystkie korzyści dawnych włosieniowych spodnic, a żadnej niedogodności, jaką miały tamte, mianowicie szorstkość, odcięcie zbyt uczucie na które powszechnie krzyżowano, a które nie tyle było własnością prawdziwej krynoliny Oudinota, jak raczej krynoliny naśladowanej. Bądź co bądź dziś temu wynalazkowi nie można zgola nic zarzucić, jest on ze-  
wszech miar wysmienity.

laskowi nie można zgola nic zarzucić, jest on ze-  
wszech miar wysmienity.

Z sukien widzianych na wieczorach opisemy tu następującą. Była ona z białej tarlatany z garnirunkiem półaxamitnym, półzłotym, zupełnie nowej roboty, garnirunek tego rodzaju może być robiony tysiącny sposobem: w liście, w kwiaty, w wzory idealne. Wycinania takowe nie są przyklejane jak dawniej, ale się przyszywają, mianowicie spodem nitkami jedwabnemi, górą zaś złocistemi różnego rodzaju. Te piękne ozdóbki nazywają paletkami axamitnemi, są one przedziwne.

Rycina przedstawia: ranny szlafrok kaszmirowy, obłożony z przodu axamitem niestrzyżonym, rękawy podwójne; w pasie sznurowa przepaska, na głowie negliżyk wstążkami ubrany. Druga figura przedstawia suknię z fularu gładkiego, u której jest stanik wysoki i w szmaszki drapowany, rękawy obeiste. Na głowie kapotka ubrana w marabu. Tudzież suknia jedwabna, ubranie z przodu w zakładki z tej samej materii. Stanik gładki z pelerynką, rękawy półszerokie z pod których dają się widzieć białe; kape-lusz axamitny piórami ubrany.

**Stroje męskie.** Wnosząc z tego co dziś widzimy zdaje nam się że najmodniejszym strojem przez wiosnę będzie twina, a może i przez lato; tak o frakach jako o tużurkach nie możemy dziś nie stanowczego powiedzieć; powiemy tedy o twinie że jestto rodzaj paletotu taki jaki się w pierwszych początkach swoich pokazał: bez szwów, na obie strony zapięty, z stanem szerokim i długim, z szwami po bokach, bez fałdów, z rozporkiem w tyle u dołu i t. d. To co głównie charakteryzuje twinę, jest raczej sama materia jakiej na nią używają. Materia ta przybrała od tego stroju nazwisko twinu, i dla tego nazywają dziś twiną, kolor ciemnozielony, lub popielaty, mieszany



z odcieniami koloru marmurowego; tylko takich kolorów używają na tę suknię.

Rycina przedstawia: surdut o dwóch rzędach guzików i kamizelkę szalową równie; na dwa rzędy zapinaną.

## Przygoda z Amerykaninem;

z angielskiego W. H. Harrissona.

Byłem zawiedziony w miłości, jak opiewa stara piosenka, którą niepomnę kiedy i gdzie wyczytałem:

Smutnem serce miał

Dziewczę poszło za innego, którem ja mieć chciał.

Jeżeli ci wyznam kochany czytelniku iż to nie była pierwsza moja miłość ani też pierwszy zawód w przygodach serca, niechcę przeto abyś z tąd wnioskował iż byłem słaby lub niestały w uczuciach moich, a tem mniej iż mogłem naraz w dwóch zakochać się dziewczętach. Owszem byłem ja najstałym i najgorliwszym ze wszystkich starożytnych i nowożytnych kochanków. Czem kapitan *Dallgety* był na wojnie, tem ja byłem w miłości; to się ma znaczyć: wierny mojemu sztandarowi na czas obecny; ale to nie moja była wina że przedmiot mych uwielbień połączył się z innym nie ze mną; a ktożby się chciał przyznać do tak mylnego wyobrażenia o prawach własności i oczekiwać odemnie aby miłość moja przeżyła katastrofę himenu.

Chociaż to nie była pierwsza miłość moja, jak już powiedziałem, nie widzę dla czego miałbym być mniej pożałowania godnym w tym względzie, bo w miłości jak w podagrze każdy świeży napad może być silniejszym od ostatniego; o toż tak było i w moim wypadku. Człowiek który w podobnych okolicznościach wiesza się, topi albo zastrzela, odejmuje sobie przeto sposobność doświadczenia takich samych przygód po odbytej koterii małżeństwa; dla tego też ja przez ciekawość przyszłości nie podobnego nieuczyniłem.

Jednakże nieczułem szczególniejszej pokusy pozostania w tych miejscach i w gronie osób, gdzie mogłem być narażony na częste upokorzenia; spotkania szczęśliwej pary, jakto zwykle nazywają wszystkich nowożeńców i bez wątpienia są oni szczęśliwymi aż do pierwszej z sobą sprzeczki. Postanowiłem więc zwidzić ład stały. To prawda iż mogłem dopiąć swojego celu nieoddalając się z ojczyzny. Na wzór mojego przyjaciela S\* mogłem zagrzebać się w górach *Glamorganshire*, lub też równie zostać niewidzialnym w labiryntowych zakrętach gorzystej *Devonshire* okolicy; lecz mam ja szczególne upodobać pić *hock*, ulubione moje wino, w jego rodowitej czystości, i dla tego puściłem się w okolice Renu.

Nie mając żadnego upodobania w podróżowaniu *à l'anglaise*, to jest, jak gdyby szło o przelecenie w cwał największej przestrzeni ziemi w najkrótszym przeciągu czasu, płynąłem tam i nazad przez urocze brzegi Renu, w tem miejscu dzień jeden, w owem dwa dni bawiąc, i napatrzyłem się do woli wszystkim okolicznym *lions* ze wszystkich punktów z którychkolwiek mogli być widziani.

Podczas krótkiego pobytu mego w Szafluzie, spotkałem się z dawnym przyjacielem moim, który również jak ja przybył tu dla przypatrzenia się spadkowi Renu, lecz na drugi dzień przybycia swego odebrał list wzywający go w interesach do Paryża. Miał on z sobą lekki powóz i parę lekkich angielskich paraderów, których dla przynaglonej podróży zabrać z sobą niemogąc pozostawił opiece mojej; przyrzekłem mu iż je na powrót do Anglii odwiezę. Pozostawił mi on również swojego pocztyliona rodem Niemca, obznajomionego nieco z angielskim językiem, i który niezawisłe od usług swojej profesji, i doskonałego obznajomienia się z miejscowością był mi wielce przydatnym jako tłumacz; moja albowiem własna teutońska umiejętność ukazała się raczej teoryczna niż praktyczna.

Gdy jeden z moich przyjaciół mieszkał w Sztutgardzie, postanowiłem oddać mu wizytę, co przy moim planie podróży zatrzymywania się często przez dnie całe na tem lub owem miejscu, dla wypocznienia koniom, mogłem łatwo skutecznie powierzonym mi powozem.

Było to już po południu, dnia szczególnie pięknego, ku schyłkowi jesieni, gdy spełniając mój wizytowy zamiar, przejeżdżałem przez Szwarcwald. Drogi były przykrejsze niżelim sobie wyobrażał, a przywykłem do przedziwnych gościńców angielskich podróży poczęła być utrudzającą. Brakowało już tylko parę godzin do zachodu słońca, a jeszcze miałem do przebycia kilka mil, aby stanąć w samotnej karczynie, w lesie, jedynej stacji na dzisiejszy nocleg. Pragnąc, jak naturalnie, dostać się do mojej kwatery przed zapadnięciem nocy, wychyliłem głowę przez okno landary by napędzić pocztyliona do przyspieszenia jazdy, gdy uwaga moja ściągnięta została przez podróżny powóz tuż o kilka kroków przewrócony przy drodze. Był on, jak się zdawało, pierwaj dwoma ciągnięty kołmi z których jeden tylko widzieć się dawał, a ten uwolniony od zaprzęży pał się swobodnie na wąskiej w pośród drzew łące.

Jedyną ludzką postacią w tem miejscu był młody człowiek, mogący mieć nie więcej nad lat dwadzieścia pięć. Wzrost jego był wyższy nad mierny, atletycznego chociaż dość zgrabnego kształtu, włos miał jasny



i z lekka kędziorawy; płeć jego szczególniej delikatna, i czerstwości okraszona rumieńcem, a twarz chociaż nieco za nadto okrągła, aby mogła się nazwać w ścisłym znaczeniu piękna, miała wyraz uprzejmości i dobrego humoru, a w połączeniu z jego śmiejącem, jasno niebieskim okiem tworzyła zbyt żywą sprzeczność z ową fizjonomią *à la Werter*, na której sam widok młode nasze damy wpadają w gorączkę miłości, skoro im ją tylko metr rysunku na papierze skreśli. Gdym go pierwszy raz spostrzegł, był on z krzemieniem w ręku, zatrudniony wydobywaniem upornej iskry z żelaza jednego z kół powozu, w kawałek niemieckiej hubki, w zamiarze jak się domyślałem zapalenia cygara. Gdym do niego przemówił, zaprzestał swej pracy. W pewnym kupieckim domu w Londynie zdarzało mi się często być w towarzystwie amerykańskiej szlachty, i do tyła sądziłem się być obznajomiony z głównym narodowym rysem ich charakteru, iż na pierwszą daną odpowiedź, gdy mu wyraził współczucie moje nad jego nieprzyjemnem położeniem, przypuściłem śmiały domysł iż on był Amerykaninem, co się też później potwierdziło.

W odpowiedzi na pytanie moje o przyczynie wypadku, wskazał on ręką na jedno z przednich kół, które leżało pogruchotane o kilka kroków od powozu.

—Lecz gdzie jest, zapytałem, pocztylion pana?

—Udał on się na drugi koniec do karczmy, która jak mi oznajmił z tą o mil parę; była odpowiedź.

— Czy się go rychło pan spodziewasz z powrotem?

—Powrót jego zawisł jak sądzę, od dobroci wina gospodarza karczmy i wdzięków jego córki, jeżeli ma jaką, gdyż urwisz ten, jak mi wiadomo, rodem z tu-tejszej granicy, a z prawdziwym teutońskim gustem do zapachu wina, posiada on całe francuskie poświęcenie się dla płci pięknej. Jużby powinien od dwóch godzin być z powrotem.

—Czemuż pan nie wsiadł na drugiego konia, aby za nim pospieszyć?

—Probowałem to, ale mi się nieudało.

—W rzeczy samej niebyłoby najlepiej dosłaść tego rumaka.

—A tak, ale on ma wtem swój interes, abym ja tu pozostał, bo skoro tylko zrobiłem mu czynną uwagę, aby porzucił ulubioną swą łakę dla drogi, gdy bestia wierzgnęła w powietrze kopytami i przerzuciła mnie przez uszy z tak małą ceremonią jak gdybym ja był workiem trzasek.

—Lecz wreszcie coż pan zamyślasz uczynić?

—Uczynić? a coż ja mogę innego uczynić, jak przespać noc w lesie tu na tem miękkim pościu, z tą miłą przed oczyma perspektywą, że zostanę po-

żarty albo przez wilków, albo dzikich niedźwiedzi, o tem jutrzejszy poranek bez wątpienia zadecyduje.

—O nie, wszakże jeszcze inny sposób pozostaje.

—A jakiż to być może?

—Zajęcie próżnego miejsca w moim powozie. Nie możesz pan tego przypuścić abym ja, lub ktokolwiek-bądź inny na mojem miejscu, mógł zostawić pana smutnemu losowi jego.

—Niewiadomo mi jest, co mężczyźni z waszej ojczyzny przywykli czynić w podobnym przypadku, lecz wasze kobiety w cudownym sposobie mało mają sympatii dla podróżnego w [mojem położeniu. Jedynym powozem przejeżdżającym to miejsce od czasu mojego nieszczęśliwego przypadku, była karetta zawierająca w sobie jedną z cór Albionu, tegie cztery bieguny i brodaty woźnica, zdołałby zaimponować największemu śmiałkowi, a piękna dama wychyliwszy głowę przez okno, zaczęła słodziutkim głosikiem wybadywać mnie o najdrobniejsze szczegóły mojego wypadku, lecz ponieważ nie mogła ofiarować mi miejsca w swoim powozie bez zrobienia przykrości swej pokojówce i mopsikowi, pozostawiła mnie po wielu czułych wyrazach politowania i pocieszającym oraz zapewnieniu, że wiley niezawodnie pożrą wprzód konia nim się wezmą do podróżnego. Ponieważ niemielśmy chwili do stracenia, wyskoczyłem z mojego powozu i dopomogłem Amerykaninowi do przeniesienia jego rzeczy, a po kilku zwieźłych lecz szczerych wyrazach dziękczynienia usiadł on obok mnie i jechaliśmy dalej. Nazwisko jego, które wyczytałem na podróżnej walizce było *Woodley*. Mój towarzysz był szczery i poufny, a przez czas, jakiego potrzebowaliśmy do przebycia dwumilowej przestrzeni oddzielającej nas od naszej kwatery, dowiedziałem się z jego opowiadania iż z woli rodziców odbywał on najprzód wszystkie nauki mogące go wynieść na godność lekarza, lecz że później odziedziczywszy w spadku po krewnym dość znaczny majątek, znalazł się w dwudziestym pierwszym roku panem swej woli, porzucił pierwszy zamysł; a teraz zamiarem jego było zrobić przejażdżkę w około Europy.

Karczma przeznaczona nam na nocleg, było stary i spustoszony budynek, który chociaż obszerny, zawierał w sobie tylko dwie mieszkalne izby do którychby goście mogli być wprowadzeni, mianowicie kuchnię i obszerną izbę wspólną po drugiej stronie sieni. Ponieważ izba ta była już zajęta przez jakiegoś Anglika i damę, zaproszono nas do kuchni, gdzie pierwszym przedmiotem jakie napotkał wzrok mojego nowoznajomego, był jego galloteutoński pocztylion ze szklanką wina w jednej, a różowymi paluszkami karczmennej Hebe w drugiej dłoni. Wybuch tak słusznie wzbu-



dzanego gniewu Amerykanina nie byłoby jak mnie-  
mam ograniczyło się na słowach, gdyby winowajca  
nie był natychmiast zniknął jak kamfora wraz z swoją  
parą zostawując nam swe miejsce przy płomienia-  
cem ognisku, co w połączeniu ze skromnem jaki nam  
karczmarz dostarczył mógł posiłkiem, rychło przy-  
wróciło zwykły dobry humor mojego towarzysza. Po-  
siłek nasz był zaprawiony butelką reńskiego wina  
które jak nam oznajmił gospodarz pochodziło z wino-  
brania z r. 1789. Jakikolwiek mógł być wiek jego,  
wino było dość dobre, pod wpływem reńskiej cnoty  
Amerykanin jakoteż i ja pozostawieni samnasam w iz-  
bie, wzrastaliśmy we wzajemnej dla siebie ufności  
rozprawiając o tem i owem z takim wylaniem serca,  
jakbyśmy byli przyjaciółmi od lat dziecińczych.

Pomiędzy innemi przedmiotami rozmowy przyszła  
kolej i na politykę, szły pod nasz rozbiór względne  
przymioty monarchicznego i republikańskiego rządu;  
każdy z nas popierał wedle sił swoich system rządu  
pod którym żył i dodać mogę, był szczęśliwym. Nie-  
znacznie spory nasze nabrały cechy uniesienia i gor-  
liwości, co na nieszczęście zawsze charakteryzuje po-  
lityczne rozprawy i nierzadko wymaga pewnego przy-  
musu i panowania nad sobą, aby zachować się wtedy  
w granicach przyzwoitej grzeczności.

Wkróttem czasie zażądałszy drugiej butelki,  
z której każdy z nas napełnił sobie szklankę, gdy w od-  
powiedzi na to, co jak mi się zdawało stosowało się do  
mojej ojczyzny, pozwoliłem sobie zrobić uwagę czyniącą  
więcej zaszczytu mojemu patryotyzmowi niżeli rozsąd-  
kowi. Szklankę moją trzymałem w tej chwili do ust  
przytkniętą, a Amerykanin od swojej o jeden cal był  
oddalony, gdy w tem nagle postawił ją na stole a moją  
jednym zamachem wytrącił mi z rąk na podłogę.

— Coż to ma znaczyć mój panie? zawołałem po-  
wstając, uniesiony gniewem i zadziwieniem.

— To ma znaczyć po prostu, odrzekł Amerykanin  
tonem spokojnym i uroczystym, tworzącym wielką  
sprzeczność jego poprzednio ożywioną mową, iż  
w tem winie znajduje się coś, co wcale nie należy do  
winobrania z r. 1789, tyle przez naszego gospodarza  
zachwalonego. Krótco mówiąc, wino to jest zatrute,  
a to tak należycie, iż jedna szklanka tego nektaru wy-  
starczyłaby do wyprawienia nas w podróż, nad którą  
mało dotąd rozmyślaliśmy, i do której, boże odpuść!  
podobno niezbyt przygotowani w tej chwili jesteśmy.

— Mój drogi panie! zawołałem, przebac za nadto  
porywcze wyrażenia, które się z ust mych wymknęły.

— Nic to! odrzekł on, okoliczność zdawała się je  
usprawiedliwiać, lecz nie było czasu na ceremonie.

— Lecz czy pewnym pan jesteś tego co twierdzisz?

— Jak najpewniejszym; co do trucizny pomylić się  
nie mogę; zdołam rozeznaczyć nawet jedną jej kropelkę  
w całej kwarcie jakiegobądź płynu.

— Ale jakiż może być cel tego zaprawiania wina?

— Rabunek, a środkiem do niego morderstwo. Te  
przydrożne niemieckie karczmy mają zwykle dwój-  
znaczłą reputację. Nie podobało mi się wcale wej-  
rzenie naszego pana gospodarza, i nieufam też wiele  
cnocie mojego pocztyliona; zaczynam nawet posądzać  
iż złamanie się mojego pojazdu było mniej skutkiem  
przypadku jak zamiaru jego zostawienia mię na łaskę  
nie wilków i niedźwiedzi, ale raczej łotrów z którymi  
ludzie mojej wędrownej natury często się spotykają.  
Jednakże każemy go do siebie przywołać pod jakim  
pozorem złączonym z jutrzejszą podróżą moją, a przy  
kilku zręcznie skierowanych zagadnieniach obaczmy  
czy się podejrzenia nasze potwierdzą. Tymczasem, ja-  
kiekolwiek mamy obawy, nietrzeba się z tem wydawać,  
dla tego zbierz pan kawałki tej potłuczonej szklanki i  
ukryj w popiele, można postawić inną na stole z tej  
tam pułki, ja tymczasem pójdę zawołać mojego ptaszka.

Jednak nadaremna była chęć nasza w dostaniu się  
do pocztyliona złamanego powozu. Oddalił on się, jak  
zawiadomiła nas o tem wyżej wspomniana Hebe; dla  
wyszukania pocztowego konia, który pozostawiony był  
w lesie przy powozie. Teraz zdawały się sprawdzać  
najgorsze posądenia nasze, gdyż prawie nie można  
było wątpić, iż łotr pocztylion zemknął jedynie w celu  
aby swoich spółników naprowadzić na zmylony trop  
rabunku.

Przez chwil kilka staliśmy jeden naprzeciw dru-  
giego poglądając na siebie w przykrem milczeniu.  
Nakoniec ja pierwszy zawołałem: położenie nasze nie  
jest jedno z najprzyjemniejszych; coż nam czynić  
wypada?

— Nic, była odpowiedź mojego towarzysza; tylko  
trzymać się razem; gdyż jeżeli się niemylę, wielkie  
przeciw sobie będziemy mieć siły.

— Mamże posłać po mojego służącego? zapytałem;  
ściągając to do człowieka którego przyjaciel mój po-  
zostawił zemną w potrójnej godności lokaja, tłumacza  
i pocztyliona.

— O nie, nie potrzeba; była odpowiedź Woodleja,  
który ukazywał zimną rozwagę i przytomność umy-  
słu zbyt rzadką w podobnie krytycznych okoliczno-  
ściach. Obecność jego, dodał, nie zmniejszyłaby wcale  
nierówności sił, jakich się obawiam ze strony nieprzy-  
jaciół naszych, a gdyś mu pan oznajmił iż niebędziem  
go potrzebować aż jutro, niemożemy więc przywoły-  
wać go w tej chwili do siebie, bez obudzenia podej-



rzeń które zdolne byłyby raczej przyspieszyć niż odwrócić katastrofę.

Rzecz się tak miała, iż biedny mój pocztylion z natury leniuch, tak był utrudzony i znękany złą drogą i nieustannem pilnowaniem swoich paradierów, iż skoro tylko posilił się strawą, odprawiłem go do jego kwatery, będącej w odległej części starego jakiegoś budynku obok stajni.

Możemy jednak, mówił dalej Woodlej, otworzyć sobie komunikację z angielskim gentlemanem po drugiej stronie, gdyż chociaż sądząc z tego com mógł o nim zachwycić, rzuciwszy okiem przez wół otwarte drzwi, gdyśmy tamtędy przechodzili, mało on nam dopomógł, gdy przyjdzie do ostrego spotkania; wypada z naszej strony uwiadomić go o niebezpieczeństwie, na które on równie z nami może być narażony!

Przyjąłem na siebie godność posła, a przypuszczony będąc do izby mojego ziomka, znalazłem się przed obliczem poważnego gentlemana nad którego głową już kilkadziesiąt zim zgromadziło swe śniegi; jego pełne policzki, jowialny wyraz oblicza, dawały widoczne świadectwo spokojnego i wesołego umysłu, i owego zadowolenia, które wytłumacz sobie jak chcesz czytelniku. Ja tylko dodam iż *John Bull* wryty był w całej jego postaci w dobrze uformowanych i niedozapoznania wyrazach.

Po drugiej stronie małego stolika na którym zastawiony był obiadowy posiłek, siedziała młoda lady, mogąca mieć około lat dziewiętnastu: w jej rysach ogólne podobieństwo, jak to mówią, do jej towarzysza, złagodzone wyrazem słodczy i przyjemności, niedozwalało wątpić, iżto był ojciec i córka.

Mało jest osób, jak sądzę, które lubią, aby im kto przerywał ich obiadowy posiłek, chyba to był stary przyjaciel, i nastęczył przez to sposobność wychilenia dla kompanii jednej *extra* lampki wina; tak też i czcigodny gentleman chociaż, jak się przekonałem, towarzyskiego umysłu, musiał zapewne wezwać na pomoc swej filozofii, aby mi nie dać poznać niewczesność mojego wejścia w tej tak uroczystej dobie.

Cożkolwiek bądź aldermann C\* czcigodny i oświecony urzędnik z *Candlewick*, gdyż tem była szanowna osoba przed której obliczem stałem, przyjął mię z uprzedzającą uprzejmością i wskazał grzecznie na krzesło stojące po prawicy jego.

Chętnie uwierzą czytelnicy iż mało straciłem słów na przedmowę, lecz wpadając obcesowo *in medias res*, uwiadomiłem go o naszym odkryciu w winie zrobionem.

— Obowiązany panu mocno, rzekł czcigodny senior, lecz ja nigdy ani się dotknę ich mieszaniny o-

chrzczonej nazwiskiem wina, a moja córka nigdy wina niepija. Oto jest mój nektar, mówił dalej, podnosząc lampkę gorzałki z wodą do ust swoich; zdrowie pana!

Małe podróżne puzderko, które stało otworem na stole wskazywało iż on nie spuszczał się na piwnice niemieckie nawet dla dostarczenia faworytalnego sobie napoju; lecz dla honoru gospody jak się sam wyrażał kazał przynieść sobie butelkę wina, która chociaż stała na stole odkorkowana, nie była wcale nadpoczętą. Lecz gdy mu objawił posądzenie nasze iż zfałszowanie *Hochleitnera* (wino reńskie) było skutkiem, nie przypadku, lecz raczej zamiaru na życie i kieszenie nasze, stary aldermann, ścisnął w dłoń swój nóż stołowy, a tonem raczej utyskiwania niżeli obawy zawołał: dobrze mi tak, to korzyść z zagranicznych podróży. Niech mnie kto drugi raz wyruszy z mojej starej Anglii, a pozwolę się zrabować i poderznąć sobie gardło w dodatku! Jużbym ztąd mógł być o mil czterdzieści przynajmniej; ale na nieszczęście woźnica mój zachorował, i wątpię aby mógł być w stanie wyruszyć ztąd jutro rano; lecz to rzecz małej wagi jeżeli mamy być tej nocy pozarzynani. Jednakże dodał, nie wszystko pójdzie łotrom po ich myśli. Z miłością dobrego życia, i rubaszością *John Bulla* aldermann posiadał też nie mały stopień *John Bulla* odwagi. Powstał z żywością młodzieńca wydobywszy z podróźnej swej walizy parę pistoletów z olstry które jak mnie upewniały były towarzyskiej próby i składały część jego wojennego ekwipażu, gdy miał zaszczyt należeć do znakomitego korpusu lekkiej miejskiej milicji; wyrzekł uroczyście: członki moje mój młody panie, dzięki staremu wiekowi i podagrze, nie są zapewne tak gętkie i silne jak twoje; lecz potrafiłem jeszcze przełamać ogniwa żelaznego łańcucha, a jeżeli w tym oto prochu jest jaka cnota, te psy, będą mieli dobrą jego uncię nim się dobiorą do kieszeni naszych.

Po krótkiej naradzie, ułożono abym ja i mój zamorski towarzysz przenieśli kwaterę naszą z kuchni do izby zajętej przez szanownego mieszczanina i jego córkę, w celu zkoncentrowania sił naszych. Powróciwszy do Woodleja, aby mu zakomunikować skutek mojej ambasady, spostrzegłem iż on, aby nasze podejrzenie nie zostało wykrytem, wypróżnił tak zręcznie w popiół wino z butelki, iż mogło się wydawać żeśmy je do dna wychylili. Przed połączeniem się naszym z aldermanem każdy z nas wyjął po parę pistoletów z podróźnych waliz, a ukrywając je starannie w kieszenie surdutów, przywołaliśmy posługacza i nakazali przynieść sobie świeżą butelkę i szklanki do



poobliżkiej izby, zaproszeniem mojego współrodaka, tłumacząc odmianę kwatery.

Zaledwie skuteczną została ta nasza koalicja z aldermanem i zamknięto drzwi izby, gdy usłyszeliśmy ciężkie stąpania, jakby wiele ludzi idących z pobliskich stajen przez podwórze karczmy, a wkrótce potem, w ciasnym przejściu dzielącym nas od kuchni którą tylkoco opuściliśmy. Poczekawszy dopóki nie uciszył się hałas przeciągających, przyłożyłem oko do dziurki od klucza, i ujrzałem przez wpółotwarte drzwi na przeciwległej stronie przejścia grupę dziko wyglądających ludzi, zgromadzonych około kuchennego ogniska, i zajętych jak się zdawało jakąś ważną rozmową, a wpośród nich, z niemałym z mej strony nieukontentowaniem, gdyż to służyło do powiększenia mej obawy, rozeznałem dokładnie pocztyliona złamanego powozu. Niechcąc powiększać trwogi w umyśle naszej pięknej towarzyszki, udzieleniem jej moich postrzeżeń, skinąłem wzrokiem na Woodleja, który niewymówiwszy i słowa powstał i tymże co ja sposobem uczyniwszy przegląd zajął spokojnie swe dawne miejsce przy stole. Jednakże aldermann i jego córka spostrzegli poruszenia nasze i jak sądzę wyczytali z wyrazu twarzy mej, iż niezbyt pocieszający był stan rzeczy. Nastąpiło przez chwil kilka przykre milczenie, a jakkolwiek byłem sam w niespokojnem usposobieniu umysłu, niemogłem wstrzymać się od chęci wybadania rzutem oka wyrazu fizjonomii moich towarzyszków pod wpływem więcej niż niepewnych okoliczności naszego położenia.

Aldermann niezdurzał żadnego poruszenia oprócz nieustannego ruchu jego oczu, które bez przerwy wędrując od drzwi do córki, wskazywały iż serce ojca do żywego dotknięte było; gdy tymczasem ściśnięte usta i zmieniająca się co chwila barwa na licu młodego dziewczęcia, objawiały razem i jej niepokój i chęć ukrycia go przed troskliwym wzrokiem ojca. Zwróciłem się do Amerykanina; lecz wejrzenie jego nie było zmienione, a co więcej nawet niebezpieczeństwo położenia w jakim się znajdował niezdolało przygasić żywego wyrazu jego śmiejących się błękitnych oczu. Twarz jego była prawdziwie godną zastanowienia badawczego oka artysty: spokojna, nie z lekceważenia niebezpieczeństwa, lecz z naturalnej gotowości na wszelkie wypadki i panowania nad sobą, co charakteryzuje człowieka odważnego serca, który przygotował umysł swój na najgorsze, postanowił przedać najdrożej życie swoje.

W krótkim czasie rozmowa w kuchni chociaż do słyszana, poczęła być prowadzoną tak cichym głosem, iż niepodobną było rzeczą dla nas uchwycić jej wątku

bez otworzenia drzwi naszej izby, co nam się niezdawało stosownem. Kilka tylko słów wyrzekliśmy między sobą, bo chociaż Woodlej i ja sam nawet usiłowaliśmy, sprowadzeniem obojętnych przedmiotów mowy, odwrócić myśli naszych towarzyszy od nieprzyjemnego nam wspólnie położenia; mało nam się to udało.

Amerykanin spostrzegłszy iż aldermann i jego córka zajęci byli rozmawianiem z sobą w cichem szepcaniu, użył tej chwili do oglądnięcia, niespostrzeżony od nich, naboju swych pistoletów, i ja też za jego poszedłem przykładem. Takiż sam przegląd broni mieszczanina nie był tak łatwym do skutecznienia, dla niechcących zwiększać trwogi jego córki, lecz Woodlej którego roztropność wyrównywała odwadze, przeszedłszy się parę razy po izbie, ujął z miną obojętną jak gdyby dla przypatrzenia się ich robocie pistolety; weteran lekkiej jazdy odwrócony od ich właściciela i jego córki, pociągnął za kurek i ukazał mi z uśmiechem iż nie było w nich kabzla, który przypadkiem wypadł. Zręcznie i niepostrzeżony od naszych towarzyszy, poprawiwszy tę chybę postawił spokojnie pistolety przy boku aldermana. Zaledwie skuteczną swój wybieg, gdy donośny huk piorunu, którego przed półgodziną słabsze odgłosy, zwiastowały nadchodzącą burzę, rozległ się po starym budynku karczmy, a to z tak gwałtownem wstrząśnieniem iż wszystkie meble pokoju jakby elektrycznem zadrżały poruszeniem i także same sprawiły na nerwach młodej lady. Błyskawica ścigała błyskawicę, a deszcz strumieniami lać się począł, i bił o szyby tak silnie jakby każda jego kropla była ołowianną kulą.

Niepotrzebowaliśmy wcale takowego dodatku do okropności tego wieczora, dla zwiększenia nieprzyjemności położenia naszego. Nakoniec przerażającemu gromowi towarzyszył trzask i łamanie wskazujące iż jeden z monarchów lasu padł jego ofiarą. To zdało się być przesileniem burzy, która stopniowo cisziała, grzmoty coraz słabiej odzywały się, a nakoniec umilkły w przestrzeni; deszcz ustał, a milczenie poważna siostra ciemności, objęła panowanie nad ziemią.

Niedługo byliśmy zostawieni bez nowego zajęcia myśli naszych. Na gościńcu wiodącym do karczmy dał się słyszeć odgłos pospiesznego biegu rumaka, a w kilka minut o brukowany dziedziniec odbiły się podkowy nowoprzybyłego jeźdźcy. Roztwarzyły się za jezdne drzwi karczmy, a stąpanie jakby ciężkoubrojonego jeźdźcy w wąskim przejściu dosłyszeliśmy wyraźnie. Nowoprzybyły poszedł do kuchni, a wkrótce tam słyhać było odgłos, różniący się od tych jakie poprzedniczo wychodziły z tej kwatery, jak odzywał



się tonem wyższości i powagi do zgromadzonego tam towarzystwa.

Potrzebna tu uwaga, iż chociaż ja i Amerykanin posiadaliśmy dostateczną znajomość niemieckiego języka, aby czytać dzieła w nim napisane; niedokładne jednakże obznajomienie się nasze z dialektem krajowców utrudniało nam wzajemne porozumienie zrodowitymi Niemcami. Nasza piękna towarzyszka mniej jeszcze od nas biegła w tem była; a używając własnych wyrazów czcigodnego aldermana, mowa w tym języku była dla niego babilońską wieżą.

Szanowna konklawa w kuchni zdawała się ocze-kiwać jedynie na nowo przybyłego jeźdźcę aby przy-  
stąpić do dzieła; a my niepozostaliśmy dłużej w wątpli-  
wości ażali te ich narady nas miały na celu, gdyż  
tłum cały, jak ze stąpania jego mogliśmy wnioskować,  
zbliżał się ku naszej izbie; zatrzymali się przy  
drzwiach, a głos nowoprzybyłego, prędkim i niecier-  
pliwym tonem zażądał wejścia.

W oczekiwaniu napadu poczyniliśmy wprzód  
wszelkie w mocy naszej będące ostrożności, miano-  
wicie zamknęliśmy drzwi jak mogli najlepiej za po-  
mocą zasuwki, a zgromadziwszy wszystkie meble u-  
łożyliśmy z nich szaniec z poza którego z większą ko-  
rzyścią mogliśmy dać ognia do oblegających nas, na  
przypadek gdyby drzwi wysadzić chcieli.

Dokończenie nastąpi.

### Ustęp z tragedii Dominika Magnuszewskiego,

pod napisem

**K A M I L.**

#### Akt I. scena 3.

**KAMIL (sam)**

... kiedym rękę na sercu położył  
I zapytałem serca, czego drży u łona?  
Oczy mi do drzwi zbiegły, ktoś odrzwił otworzył,  
Weszła maska, a serce gadało: to ona.  
I dopiero poznałem, żem przyszedł pustować,  
I dopiero mi słowa składy się na usta,  
Myśl zabiegła do głowy i dziwna i pusta:  
Wobec świata mą miłość przed nią rozkrzyżować,  
Puścić moją nieśmiałość na rozstajne drogi;  
I ten Kamil co weszedł milczący, ubogi,  
Miał wyjść z zabawy huczny, ubogacon słowem  
Coby go mogło zbudzić i włożyć grobowem.  
Dostałem, rozbudziłem, bo czegoż szaleję,  
Czego mi już tak chmurno na zaczętem niebie,  
Tu sam z sobą w komnacie żyłem, ot me dzieje.  
Dwudziestu lat młodzieńczych wlepiłem w te ściany.  
Witał was, wówczas kiedym chciał rzucić za siebie  
I w świat wpłynąć uczuciem żadnem niezwitany.  
Witał was silniej, dawni przyjaciele moi!  
Świat, co zdaleka huczał u moich podwoi,  
Wywabił mię z progi i rozśmiał się ze mnie.

(*Patrzę w obraz*) O tys mnie o tem zdać się ostrzegać tajemnie

Wizerunku ojcowski! gęsto mówisz do mnie,  
Kiedy się szczerą myślą wpatrzę tobie w czoło,  
I duch mi się naocznie sprawia w piersiach skremnie.  
Jakbyś żył, jakbym zachciał widzieć cię wesoło,  
Nieskalanego smutkiem; ja tobie u nogi  
Leżę tem dzieckiem, któreś odumał w pięćlecie,  
Słyszę twoją gawędkę, ha kończ cieniu błogi!  
Gawędkę o przeżytych o niemoim świecie.  
Łałeś mi go w pierś małą, jam za młodo słuchał,  
Tyś za staro powiadał, myśliś mi zdobruchał.  
A sercuś skradł podstawę na nowszą budowę,  
I z tem co widzę tęskno mi wpołowę.  
Do tego co tam było gdzieś za twojej pamięci.  
Ojcze, ja ciebie widzę, gdy mi się iza kręci,  
Ojcze, ja ojców widzę cały zastęp tłumny,  
Patrzę ci w twarz, to stare rzeczy jak kolumny  
Skaczą mi w oko, w pamięć i tak żywo rosną,  
Że mi w komnacie zda się posuwisto, głośno,  
Od ich gawęd, okrzyków i witam się z niemi  
Rozmowami staremi, myślami staremi,  
Ty mi w przodek, i syna zapoznałeś z niemi.  
Pójdźcie tu mężo! czyny nietegowiekowe!  
Jako z waszym poufym ciągnijcie rozmowę,  
Wygadajcie oblicza wasze, kord przyniesiecie,  
Brzęccie nim, mnie do spółki, ojce i mnie weźcie!  
I ja mam słuch rozległy: wasz postuch na czatach;  
Ja mam noc bez snu jako wasze za Turkami;  
Ja mam krzyk, krzykiem sprostam przy waszych wiwatach.  
Ja chcę urosnąć starzeć z starymi ojcami,  
I język mój potać aby gadał z wami.  
Toż wam wstyd za te życie synów wypieszczone,  
I jak woda potoku w karkafkę zamkniętą.  
Kryształ czysty i woda zda się w tym kryształ, a  
Lecz gdzie ta rzeźwość, co ją rzuciła po skale,  
I by krymką tatarską ubierała czoło,  
Gdzie kwietne brzegi, w których hasała wesoła,  
I odskakując kroplą o krzemień, o drzewo,  
Głaskała je ze słońcem a rwała z ulewą.  
Wysię się z stalną piersią w przygody rzucali  
Ojce, my po was zdarli zbroice ze stali,  
Pod odziewkiem tak nagie łonośmy odkryli,  
Że je pióro jak bechter ku grobowi chyli.  
Nie stusza strzały, haubic, by nam do krwi dostać,  
Jak was Tatar, nas trwoży lada senna postać,  
Rozuzdane nam myśli cwałują po głowie,  
Jak koń wasz na pustkowi o srebrnej podkowie,  
Co twarde to mu pościel, co miękkie obręcza,  
Od piersi pchnął kopytem i wypłynął tęcza,  
A gdy mu mokro jeszcze po dziarskich potrzęsach.  
Zarył pod nogi turhan, krwią bryżdząc po wąsach.  
Tak wy; ale tak nie mam; chyba skończcie dzieło,  
Chyba zstąp ojce i to co się kłóć poczęło,  
W dziecku twem, rozprowadzaj myślami swojemi  
By go nie rwał w objęcia duch żyjącej ziemi,  
By wasza pamięć z sukni nie znikła żałoba,  
Byście się nie przeżyli sami...

D U C H.

Jestem z tobą!..



## Anekdoty.

Piękne wielbiciele Balzaka! Ktoście tyle też wylały nad *Jean la paille*; *Eugenie grandet* i t. d. ciekawe może jesteście wiedzieć, jak też wygląda ten cudotwórca który tak głęboko umiał zajrzeć w serduszką waszą, tak grzecznie wytłumaczyć wasze błędy; następujące anekdoty za których autentyczność ręczy Sylfida dadzą wam poznać i powierzchowność i jeden rys charakteru waszego ulubieńca.

Niedawno wszystkie francuskie dzienniki ogłosiły bliskie ożenienie Balzaka, do czego powodem było następujące zdarzenie. Panna S\* młoda i ładna osoba, pełna sentymentalności i zapachu, przybyła na wieś aby przepędzić lato w pięknym zamku pani W\* przyjaciółki pani Sand. Ta młoda panienka, mając głowę nabitą romansami Balzaka, powzięła dla najpłodniejszego z romansopisarzy francuskich (którego dotąd nie знаła) najgwałtowniejszą namiętność. Wyobrażała go sobie pod najulubniejszą postacią, a imię Balzaka było ciągle w jej ustach. Pani W\* zapytała ją czyli doprawdy chce iść za Balzaka, że go zna i zaprosi do siebie na wieś. Młoda osoba z zapamiętaniem przystała na wszystko. Pani W\* pisze natychmiast do autora *Eugenie grandet* donosząc mu o gwałtownej miłości swej przyjaciółki, uwiadamia go przytem iż panna S\* posiada 40000 liwrów rocznego dochodu. Balzak pospiesza z odpowiedzią iż najchętniej przystaje na tak miłe propozycje, gotów w tejże chwili do ożenienia się, nazywa panią W\* swoim dobrym aniołem i obiecuje przyjechać najdalej za tydzień. Tego czasu używa do zakupu pysznego podarunku ślubnego i poczynienia przygotowań do podróży. Pewnego dnia panna S\* odbywała swoje zwykłe samotne przechadzki w długiej ogrodowej alei, gdy wtem z drugiego jej końca wysuwa się jakaś figura mała, ciężka i otęta, z twarzą rumianą i połykającą jak kłębię w pełni, zbliża się ciężko stąpając do panny S\* i zapytuje pięknej marzycielki czy pani W\* jest w domu. Jest mój dobry człowieku! odpowiada panienka; zapewne jesteś tym młynarzem który miał dziś z rana przybyć? — Nie! nie jestem młynarzem odrzekł przybyły jegomość nieco urażony, jestem biskupem. Ah! daruj panie... Wasza wysokość, chciałem powiedzieć przebaczyć, ależ ten ubiór ta...

To mówiąc panna S\* zmieszana kłania się nisko i prosi dostojnego gościa do zamku; tam częstuje go herbatą, chłodnikami, a poważny jegomość pozwala się dowoli tytułować *Monseigneur*. Nadchodzi wreszcie pani W\* a zobaczywszy nowo przybitego, wykrzykuje, ach otoż pan Balzak! powtórzyła panna S\* zdumiona wypuszczając z rąk japońską filiżankę; wszak ten pan mówił że jest biskupem. Czyliżbyś wolał abym był młynarzem? odrzekł poznany gość.

Coż się stało z miłością panny S\*? Niestety, znikła jak kamfora ta gwałtowna gorączka wyobraźni, a przy panu Balzaku pozostały koszta podarunku ślubnego i trudy odbytej podróży.

Dziwne ma widzimisie sławny ten romansopisarz, chce on aby powszechnie mniemano iż zwykłym towarzystwem jego jest wyższa *nobles* i magnaci, u każdego innego śmieszna wydałaby się dziś taka pretensja a szczególnie u tak znamienite-

go literata. Pewnego dnia autor lekarza wiejskiego przechodzi się po bulwarach włoskich prowadząc pod rękę młodego mężczyznę z którym zdawał się być wciągnięty w interesującą rozmowę. Spotyka go na drodze pan H\* początkowy literat, który kontent iż mu się nadarzyła sposobność pomówienia z wielkim pisarzem zatrzymuje się. Pan Balzak w tejże chwili bierze za rękę młodego pisarza a przedstawiając go swemu towarzyszowi, prezentując ci książkę! młodego sekretarza ambasady z d... Pan H\* zdumiony tym nowym tytułem którym go obdarza hojność romansisty, nie mogąc wytłumaczyć sobie tej mistyfikacji, kłania się a po chwili odchodzi. Zdybawszy potem po raz drugi Balzaka, powiedz mi pan, rzecz dla czego pożyczyles mi wczoraj z łaski spojej takiej godności? — Ha, ha, odrzekł śmiejąc się, nieco zaambarasowany Balzak, widzisz mój kochany H\* tego właśnie dnia spotykałem po drodze samych literatów, a niechcąc aby książkę N\* myślał że tylko jedynie z takimi przestaje ludźmi, zrobiłem ci sekretarzem ambasady. — Twój książkę N\* jest takim chłopcem jak ja sekretarzem ambasady: znam go, jestto adwokat przybyły z prowincji B\*. Czy i on zna ciebie? Jak mi się zdaje: tam do licha! zawołał Balzak, na drugi raz będę lepiej wybierał moje znajomości.

Nowy rodzaj kuracji. Doktor Bench z ulicy *laumartin* w Paryżu wynalazł nowy sposób uniwersalnej kuracji, który daleko pozostawi za sobą wszystkich allopatów, homeopatów i t. d. Jest to sposób bardzo prosty: Doktor Bench ma kilka flakoników z esencjami, które po kolei każe wachać wszystkim bez wyjątku pacjentom swoim jakikolwiek byłby rodzaj ich choroby. Cierpizli na podagrę, ból głowy, lub zatwardzenie, powachaj tylko raz, dwa, trzy, koleją cudowne flakoniki, już jesteś zdrow jak rybka; złamałeś rękę lub nogę, nie to, powachaj esencję doktora Bench, a obejdziesz się bez chirurga. Długo kłócili się o to fizjologowie w której części człowieka zamyka się owa tajemnicza istota którą zwiemy duszą. Otoż doktor Bench, jasno i dowodnie okazuje że ten gość nieśmiertelny siedzi oczywiście w nosie. Teraz gdy przestrzeżeni jesteście panowie i panie pamiętajcież nie kichać zbyt mocno. Pewien młody panicz cierpiący od dawna na jakąś chroniczną chorobę, słyszawszy o tym sławnym doktorze, udał się do niego po radę. Doktor Bench wysłuchawszy opowiadań chorego, dobywa jednego z cudownych flakoników i każe mu wachać po trzykroć. Po wyznaczonych ośmiu dniach pacjent przychodzi jeszcze stabszy, doktor dobywa drugiego flakonika, a chory znowu trzy razy wacha, i odchodzi. Gdy za trzecią i czwartą wizytą taż sama operacja takież sam sprawia skutek, znecierpliwiony i coraz gorzej cierpiący pacjent pyta doktora ile mu winien za tę kurację. Ośmset franków odpowiada doktor Bench. To trochę za drogo mój panie, rzecz słaby, ale wreszcie, mniejsza o to. To mówiąc dobywa z pugilaesu bilet bankowy i podnosi go do twarzy doktora, a potrzymawszy przez chwilę chowa nazad do kieszeni. Jam wachał esencje waćpana; pan powachales mój bilet, więc kwita między nami; to mówiąc kłania się grzecznie i odchodzi.